

J. I. KRASZEWSKI.



EWUNIA.

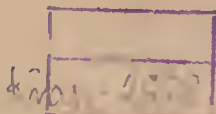
Opowiadanie z końca XVIII wieku.

TOM I.

WARSZAWA
NAKŁADEM „ZIARNA”

—
1913

135



T. 1-4

Drnk E. Szyllera, Nowy-Świat 34.

1206 111

Nihil difficile amanti.

Dzień był piękny zimowy... bo są i w zimie dni piękne. Naprzykład, gdy się wszystko szronem, puchem i brylantami okryje, gdy mróz nie jest zbyt ostry by życie z istot dobywał, gdy powietrze ciche i spokojne, niebo blado-szafirowe, słońce uśmiejchnięte obietnicą wiosny; gdy na ziemi leży śnieg jako świeżuchna pościółka, a w zakryciu od północnego przewiewu, nawet po troszę, ostrożnie przygrzewa.

Tak bywa w styczniu, gdy już dni rosną, gdy słońce się coraz podnosi, a ludzie liczą, że przebrną nareszcie mroki i chłody, i doczekają zieloności. Naówczas zima listopadowa i grudniowa, czarna, smutna, grobowa,

przybiera nowe oblicze i pogodzić się z nią można i można powiedzieć, że piękny jest dzień zimowy. — Chociaż!! Bogiem a prawdą! kiedyż zima piękna? ona co mrozi ubogich, a chorych zabija, którą można przeżyć, przebyć, przebiedować, ale się nią cieszyć — niepodobna. Zima zawsze jest śmiercią.

Nie musiała się ona jednak tak wydawać dwom młodym, wesołym, rumianym paniczom, których rzeźkie koniki pędziły po dobrze utartej drodze, ku zdaleka widnemu dworowi, stojącemu pośród drzew właśnie okrytych puchami szronu i wyglądających jakby były świeżo na bal upudrowane. — Ci ichmoście jechali na dwóch saniach, pozaprzęganych czwórkami koni, przybranych z fantazją wielką. Bo to u nas nigdy może nie występowano wystawniej, świetniej, suciej jak w czasie zapust i kuligów, a był właśnie mięsopust

i obaj kawalerowie, którzy się tylko co spotkali na zbiegu dwóch dróg, sadzili się teraz kto kogo wyprzedzi i kto pierwszy stanie u mety, to jest przed gankiem panny podczaszanki.

Byli z sobą dobrze znajomi, pono nawet koligaci, ale teraz, gdy obaj zamysłali konkurować o cudowną Ewunię, z dawnej przyjaźni, koleżeństwa szkolnego i myśliwstwa, zostało tylko w sercach obu, pragnienie wzajemne, wyścignienia się nie tylko na gościńcu, ale i w sercu Ewuni.

Do dworu, drogi był kawał spory, ale sanna kopna strasznie i wyminać się prawie niepodobieństwo. Przodem leciały sanki Wálka Brochwicza, cztery siwe mierzynki, grzywy długie, ogony po ziemi, wschodnia krew, jak wiatr skóre, szalone, robujane, niepotrzebujące nie tylko bąta, ale nawet ręki machnięcia nad sobą, dość było na nie świsnąć, to

cię jak wiatr niosły. Znać je Walek bardzo kochał, bo to było wycacane, wystrzyżone, wychuchane. Niewiadomo zkad dobrał cztery skóry lamparcie na deki dla nich, a uprząż cała świeciła, dzwoniła, brzęczała. Sanki też miał śliczne, okryte niedźwiedziami, leciuchne jak piórko, zwinne i ostro podkute, bo miejscami suchy śnieg wiatr pozmiatał i lód był po niedawnej odwilży, jak szkło ślizki.

Za nim tuż, tuż jadący, tak że chwilami konie jego prawie na sanki Walka wpadały, Szczeppek Junosza Zboiński, także niczego wystąpił. Konie miał roślejsze, kare, silne, znać wyrobione dobrze i nie tak młode, ale wytrzymałe. Przednie były siatkami pokryte, uprząż srebrem nabijana, pióra nade łbami, woźnica w kołpaku sobolim, na saniach białe wilki. On sam w rysiej szubie, czapeczka na jedno ucho, powoził.

Bat miał też zatknięty, konie go znalazły i bez tego.

Gdy tak gonią, Szczeppek najechawszy na Walkowe sanki, począł wołać: — Walek! słuchaj-że Walek, co mamy konie ochwycać — stój, pogadamy! Licho nam po tem kto z nas pierwszy przed ganek zabieży.

Walek się odwrócił cały, w boki się ujął śmiejąc.

— A o czem-że gadać będziemy?

— Znajdzie się — rzekł Szczeppek — o małe staje karczemka, każ przystanać, ze śniegu się otrzepiemy i — dwa słowa.

— A no, dobrze, dobrze! — rozśmiał się Walek — widzę żeś mi dał za wygraną, bo byś mnie nie przegonił. Twoje konie sporsze, ale ciężkie, moim równych nie ma, to darmo, a jak siwki wyprzedziły karuszki, tak ja pana Szczepana, da Bóg... wyścignę.

Szczepan ramionami ruszył.

— Da się to widzieć! — rzekł — da się to widzieć! Jeżeli mnie wyprzedzisz, już cię się o to zabijać nie będziemy. Było pocziwie i bez wszelkiej zdrady.

Walkowi oczy się zaiskrzyły. Nie odpowiedział nic. Zwrócił się do woźnicy. — Bartek — zawołał — u *Pociechy* stań, daj koniom wytchnąć.

Pociechą zwała się owa karczëmka nad drogą. Dwór coraz było ztąd lepiej widać, z kominów dwa słupy dymu parły się w niebo prościuteńko — na pogodę.

Już ku karczmce podjeżdżali, gdy Szczeppek, który stał na saniach, dojrzał, że tam przed Pocięchą sanki, że czwórka też koni wytchnąć przed niemi stanęły. Przymrużył oczy. Zmarszczyło mu się czoło.

— A wiecie, toż to tam już lichy pana Celestyna niesie.

— Gdzie? gdzie?

— Stoi — zawołał głośno Szczep-

pek — ot przed nami, poznałem go łatwo po chabetach jego i po czerwonej dece u sanek, obramowanej niedźwiedziem a podszytej lisami, ale bo i Celesio lisami podbity.

— Cha! cha! — rozśmiali się oba. —

A toż trzeba było zatrzymać rozpezdzone konie, bo przed Pocięgą nadbiegli.

Pan Celestyn Brdęski, tylko co znać ze swych sanek wysiadłszy przechadzał się właśnie koło koni i wyprostowywał. Mężczyzna był — nie stary pewnie, ale też i nie młody, statury pięknej, trochę chudy, szyja wyniosła, głowa śpiczasta, wąs rndawy w górę zakręcony, twarz nie pięknej cery, śniada, oko wpadłe... Spojrzawszy nań, trudno było pokochać, ale coś ciągnęło poznać się i zbliżyć, ciekawą miał fizjonomię, a spojrzenie jak szydło. Strach brał po trosze, a zarazem jakiś urok rzucał, że i uciekać się nie chciało.

Czuć było w tym człowieku jakąś naturę schowaną, a każdy ukrytego ciekaw — to darmo, nie byłby członkiem.

Pan Celestym Brdęski obu młodym był znany, boć wszyscy nie zbyt od siebie daleko mieszkali. Niegdy służywał wojskowo, i za granicą w cesarskich pułkach i w domu w chorągwi hetmańskiej, spadło na niego małe dziedzictwo po bezdzietnej ciotce, wioseczka dziesięć chat i rzuciwszy szablę, od lat dwóch zaprzął się do gospodarstwa. Wiedzieli wszyscy, że był niemajątny, ale prezentował się przystojniej i wstydu unikając, jak mógł i umiał występował z żołnierską, a schludnie. Już to spojrzawszy na uprzęż i konie, domysleć się było łatwo, iż tam potroszę koło nich łatano, ale zdawało się niczego. On też sam odziany był pokaźnie, delię miał na sobie niedźwiedzią, burą ale sutną,

przy czapce czaple piórko i spinę świecącą.

Celestyna zwano chorążym, Walek był sędzicem, a Szczepek się tytułował pisarzowiczem, bo to tam o te czasy bez tytułu stąpić było trudno. Świadczył on zkad kto szedł lub co robił, nie tylko próżności dogadzał, ale obywatelstwa dowodził.

Zdala na przybywających, z pewnego rodzaju ironią, spoglądał pan Celestyn Brdęski, oni go też oczyma jedli.

— Otośmy się pięknie zjechali! — zawołał Walek, wyskakując z sanek—a pono wszyscy do podczaszego!

Chorąży milcząco ich przywitał.

— A jużciż, to się łatwo domyśleć — mruknął pod nosem, wskazują na dwór.

Szczepek też wysiadł.

— Niech się konie wysapia! — rzekł, wyciągając się nieco.

— Podczasysz się może ani spodziewa tylu gości,—roześmiał się Szczeppek — byle by nam radzi byli.

— Mnie się zda, że nie tam i nie tyle jeszcze będzie — począł zwolna cedząc wyrazy chorąży — bo-ajbym się mylił, ale na drodze widziałem ślady kutych sanek i zdala mi się parę mignęło, takze ku Górze zmierzających.

— Co dziwnego!—rzekł Brdeński — wszak to zapusty, u podчасzego dwór i serce szerokie, panna piękna, młodzież jak na lep leci.

Ruszył ramionami.

— Czy pan chorąży do młodzieży i siebie liczy? — spytał Walek nieco uszczypliwie.

Chorąży nań popatrzał zimno i pomilczawszy, rzekł.

— Ja, jak sędzia wiesz, nie mam prawa do młodzieży się liczyć, ale są ludzie co mnie jeszcze starym nie

zwią. I dobrze mi z tem, bo do dwu obozow należeć mogę.

— Czy na dwóch stołkach siedzieć? — podchwycił sędzia.

Brew się zmarszczyła chorążemu, od stóp do głów opatrzył zwinnego chłopaka, mierząc go oczyma z góry, bo był o wiele słusznieszego wzrostu.

— Czy sędzia chcesz mi łatkę przypiąć? — spytał.

— O! uchowaj Boże! — począł Walek — przecież te dwa stołki nikomu nie czynią krzywdy.

— Jam bo nawykł — zimno zakończył chorąży, więcej do stołków, więcej do szabli niż do żartów, i — drwinek choćby niewinnych nie lubię.

To rzekłszy skłonił głowę.

— Stasiek! — zawołał — na koziołek! ruszać! —

Skoczył w sanki, zabręczczała uprząż, pojechał.

Walek i Szczeppek stali długo pa-

trząc na siebie, to na odjeżdżającego chorążego.

— Patrz — rzekł pisarzewicz — licowy podsobny brzydko się ściąga, aż krwawi, a ot! jedną nogę z bólu do góry niesie i kula. Dyszlowy jeden niezły, drugi wywioka. Czwórka licha warta, a przecież od nas obu wprzód zajedzie przed ganek i umie zatoczyć, wyda się to w oczach podczaszanki niezgorzej.

Westchnął.

— Czyżby ten o naszym pączku, o tej różyczce śmiał pomyśleć—odezwał się z oburzeniem Walek — o! do kata! toćby już tego było zanadto! Stary wybój taki, do tego goły, familja nie osobliwsza, on niepokażny.

Ramionami ruszył, zadumali się obaj, potem spojrzeli sobie w oczy bystro. Szczeppek był zamyślony, Walek się już śmiał, położył mu rękę na ramieniu.

— No, stary towarzyszu—rzekł — cożeśmy to się rozgadać mieli?

— Ta bestja chorąży humor mi popsuł — ozwał się Szczeppek — bo to nic, nic, a jakoś nie miło, że się nas tyle koło niej uwija.

— No, niechże my dwaj, ale chorąży!! ale rejent, ale Herciński, ale Machcewicz, ale...

Walek począł się śmiać. — O! jest tam tego, jest... co za dziw, panna piękna, posag piękny, ojciec pocziwość sama... majątek złote jabłko, w kuferku kapitały nie na ladajakich kartkach... imię szlacheckie stare, a ważne jak holenderskie złoto. Tylko to sztuka, kto ten fant drogocenny weźmie.

Znowu popatrzyli sobie w oczy.

— Wy się staracie? — spytał po chwili — zaprzeć trudno?

— A wy to nie?

— Ja się i nie zapieram.

— Więceśmy towarzysze z pod cho-
ragwi jednej — dodał Szczeppek po-
dając rękę Walkowi — a cóż? mamy
przeto koty drzeć i rąbać się i nie-
nawidzieć i doły pod sobą kopać?
Wy na mnie koso patrzycie — za
co? pytam — albo to mnie nie wol-
no tak dobrze jak wam. Gwałtem ją
żaden z nas nie weźmie.

— Masz słuszość — zawołał Wa-
lek — gniewać się i marszczyć nie
o co. Ale jak Ewunia na was słodko
popatrzy, to mi się wszystko burzy;
a ręce szabli szukają mimowoli.

— Mnie też, gdy do was słodkie
oczy zrobi — odparł Szczeppek — a
potrzeba się mitygować i mieć rozum.
Jużci przecie kiedyś wybierze.

Westchnęli obaj.

— Słuchajno — rzekł Walek —
co ty myślisz? jak się tobie zdaje
kto z nas najpodobniejszy?

Szczeppek głowę pochylił.

— A kto ją zrozumie! a kto wie

i podsłuchał co ona tam myśli, to dziewczyna niby prosta i jak dziecko szczerą, otwartą i wesołą, chichotką i nie zalotną, a taką mądrą, że się tam nikt nie pochwali więcej jak na pięć minut, żeby u niej prym zyskał. Wczoraj śmiała się do was, aż ci serce rosło, poszedłeś spać w siódmym niebie, nazajutrz rano powracasz, ani spojrzysz, ani odpowie, do drugiego zębki szczerzy.

— Albo filut wielki dziewczyna — skonkludował Walek — albo taka niewinna i chłodna, że się w niej jeszcze serce nie poruszyło.

— I mnie się tak widzi — dodał Szczeppek — więc też dajmy sobie ręce, starajmy się obaj, niech to naszej przyjaźni nie rozrywa, a komu Bóg da szczęście...

— Siadajmy razem do jednych samych — odrzucając swoje niedźwiedzie zarrosił sędziego — zajedziemy i wejździemy jak dobrzy starzy przyjaciele,

a ja wam zaczepne i odporne przy-
mierze proponuję — ot jakie: — Sta-
rajmy się poodpędzać współzawodni-
ków, abyśmy sami zostali — kogo
z nas wybierze... w woli Bożej!!

— No! dobrze—rozśmiał się Szczep-
pek siadając do sani — będziemyż
figle płatali antagonistom co wlezie,
a potem.

Konie ruszyły z miejsca, bo wo-
źnica na nie świsnął, sanki Szczepka
szły próżne za niemi. Jechali milczący.
Dwór jak zdala, tak też zbliżając się
doń wyglądał pięknie, a była to sta-
ra siedziba szlachecka, nienowomo-
dnym smakiem, a wygodna i powa-
żna. Ogromne olchy, lipy i klony.
które w lecie cień miły dawać mu-
siały, okalały je zewsząd, stała, jak
nazwisko wsi i folwarku zwiastowało,
na podniosłym pagórku.

Dwór bez piętra na podmurowaniu
z ogromnym gankiem, z wysokim
dachem, z herbowym wietrznikiem

rozlegał się szeroko, w prawo i lewo miał jeszcze przybudowane skrzydła...

Z poza niego widać było czarną kopułkę domowej kaplicy, i wierzchołki świerków, co ją otaczały. Choć wieczór, ledwie nadchodził i na dworze jasno jeszcze dosyć było, już w oknach domu czterech, widać było rześiste światło. W prawo też przy obszernych stajniach stała moc sani i ludzi się uwijało wesołych kupa. Z boku widać było drzwi kuchni, koło której ruch parobków, dziewcząt, kucharzy i kuchtów był znaczny.

W dawnych dworach, gdy gości Bóg dał, musiało wszystko być, drobiu starczyło zawsze, a w potrzebie nim pomogła, baran tłusty się znalazł, wołowinę dostarczał ćwierciami arendarz, ciele zapaśne zawsze stało, prosię też, a co do innych zapasów, o tych niema co i mówić. W zapuśty też kto doma siedział, musiał

się mieć na ostrożności że go najadą, a wymówić się od przyjęcia, honor nie pozwalał. Najskąpszy naówczas broniąc czci domu, worka musiał rozwiązać.

Przede dworem schodziły się drogi, jedna którą Walek ze Szczepkiem jechali, druga od miasteczka, i właśnie w chwili, gdy się tu dobili, przedniemi ogromne przesunęły się sanie dworskiemi końmi, widocznie wiozące skrzypki. Siedziało na nich trzech żydków i kilka kożuchowych figur, między któremi ogromna brzuchata sterczała basetla i bębenek.

Rozśmieli się tedy do siebie goście.

— A no taniec pewny, bo podczaszy o muzyce zawczasu pomyślał!— zawołał Walek—byle panien nie zabrakło, kawalerów będzie dosyć.

Ledwie sanki zabrzączały przed gankiem, zjawił się w progu sieni olbrzymiej tuszy, rumiany, z twarzą

księżycową gospodarz, otworzył ramiona szeroko.

— O toście mi dopiero pożądan! — zawołał — niech wam Bóg sąsiedzką miłość płaci! Jużem chciał umyślnych ślać, bo mi bez was było smutno.

Strzepnęli się w ganku obaj przybyli, i nuż gospodarza witac, który przy swej cyrkumferencji mógł obu do piersi przytulić, i nie było im ciasno.

— Chodźcie ichmość, nie marznięmy! — dodał, biorąc obu za ręce.

Kozaczek drzwi otworzył szeroko, zajaśniała sala wielka, rzęsisto jarzącymi świecami obsadzona przy ścianach i weszli. Chorąży prowadził ich do córki i śmiał się, aż mu podbródki skakały.

— Sędzica i pisarzowica, mojej doni kochanej prowadzę — wołał zdala — a co prawda żem się spisał, dwa dobre szczupaki na raz. Cha! cha!

W głębi obszernej sali, widocznie

już do przyszłych tańców oczyszczonoj z zawadnego sprzętu, cała gromadka kobiet się tuliła, a postrojone były ślicznie i jedna w drugą jak malowane. Choć która może mniej była piękną, każda hoża, świeża i zdrowie a młodość śmiały się im w oczach figlarnych. Trochę na przodzie stała młoda gosposia (bo matki oddawna domowi brakło) istny pączek różany, na który żaden ostry wiaterek w życiu nie powiał. Słusznna, smukła, biała, różowa, kibić giętka i zręczna, rączka i nóżka maluskie, a na białej szyjce twarzyczka kwiatek...

Spojrzysz raz, zdaje się, to dziecię, spojrzysz drugi, w oczach bardzo rozumna, patrzysz trzeci, koło serca mrówki chodzą i głowa się zawraca. Czarownica! A takie to niewinniutkie, wesołe, śmiejące się, dobre, jakby w życiu nie gniewało się ani razu, nie umiało płakać i nie rozumia-

ło co zdrada. Z obu stron ustek wydatnych, dwa dołki, w których się śmiech chowa, w oczach łązy brylantowe i wesole, które nie osychają nigdy, nie smucą nikogo, a świadczą tylko, że serce bije i czuje. Czoło jak biała przepaska, a po nad niem włosy bujne, niepożyte grzebieniem, wyskakujące pierzchliwie tu i owdzie, buntujące się wstążkom i spięciom. Bursztynowa burza, w której przy słońcu złote nici świecą.

Ubioru żał się Boże opisywać, we wszystkim jej było do twarzy, a kto na nią patrzył, nigdy stroju nie widział, ją tylko. Jak ojciec, obie ręce wyciągnęła, witając Walka i Szczepka. Dla obu miała dwa uśmiechy, wyważone równiutko, dwa wejrzenia słodkie, oba jednego kalibru.

— O to panowie grzeczni, że dziś przyjechali? — zadźwięczało im słodko w uszach — dziękujemy bardzo.

Po za Ewunią gasły już owe mniejsze gwiazdki, których tam dosyć było.

Młodzi goście się skłonili, podczaszy ich prowadził po staroświecku naprzód do kieliszka, bo po podróży trzeba się ogrzać i pokrzepić, a do wieczerzy czekać długo.

Obok sali pokój duży pełen był łaskawych sąsiadów, którzy już dawszy za wygrane paniom, politykowali i śmieli się i anegdotki siali jak z za rękawa. A węgrzyn gęsto obchodził. Powitano młodzieńców wielkim głosem, powyciągały się szerokie dłonie, pootwierały ramiona do uścisków, brzęknęły szkła. Podczaszy, choć już dobrze rumiany, sobie nalał też.

— Nie darmom ja podczaszy — trzeba obowiązek sumienia pełnić, nikt mi się tu nie wykręci. Wino czyste jak łza panowie... kto mi dobrze życzy... mam tego za cztery litery, kto ze mną i z sędzicem a pi-sarzewiczem do dna nie wychyli.

Wszyscy akklamowali zgodnie. Wybijemy.

Uszła tylko kielicha młodzież, która przy pannach dworowała, lepiej rzec przy pannie, gdyż choć tam który do innej się przysiadł, za Ewunią oczyma wodził. Chorąży ów, co to się do młodych już nie liczył, a do starych liczony nie był, stał też na oczach Ewuni, skromnie, opodal nieco, ale zdaleka posyłał ku niej wejrzenia, w których djabie gorzało. Szczęściem że mało kto to widział, oprócz Ewuni, co niby nie patrząc, chwytала wszystkie wzroki wymierzone ku sobie, a ze swemi oczyma uciekała tak, aby się nikomu nie dostało nadto.

Cały rój admiratorów, czcicieli, konkurentów ją otaczał, i było w czem wybierać, bo ich stała gromada, tylko nie wszyscy, jak Walek i Szczeppek mogli się młodością pierwszą i piękną podstawą pochlubić. Zbiera-

nina była zabawna, że się w niektórych konkury wierzyć nie chciało. Za dawnych czasów ludzie śmielsi byli, a gdy któremu przyszło darmo powzdychać, cieszył się tem, że się kochał, boć to słodka rzecz. Już choraży, choć przystojny jeszcze mężczyzna, niezbyt do tego pączka był wymierny, a cóż mówić o innych.

Rejent był niegdyś bardzo pięknym mężczyzną i kochliwego nader serca, dziś wszakże roztył się dużo i choć rumiany, świeży, twarzy przystojnej, ruchów młodych i humoru wesołego, potroszę szpakowacią.

Wszyscy wiedzieli, że miał lat pod czterdzieści, a nikomu nie było tajno, że podczaszanka dwudziestu wiosen nie przeżyła. Z drugiej strony, miał za sobą wymowę, dowcip, majątek, znaczny, kolligacye szlacheckie piękne, w stolicy stosunki wielkie, i umiejętność wielką podobania się kobietom. Co tam o nim nie opo-

wiadano! połowa w tem pewnie bajek była, a no z ust do ust podawano sobie niestworzone rzeczy. Zwał się Modestem Nieczują Żubryckim. Choraży go lubił bardzo, panna się uim bawiła, ludzie ramionami ruszali, w domu wszakże bywał i widocznie do rączki aspirował.

Ludzie go reflektowali. Bój się Boga rejencie! gdzie się tobie o Ewunię starać. Tyś stary dziad przy niej! Rejent nie mówił nic, ramionami dźwignął, westchnął, a koperczaki stroił.

Herciński młodszym był od niego, a zarzucić mu też nie można było nic. Szlachcic był to pewno, acz nie wielkiego dworu, ale majątny, gospodarny, wytrawny, postawa piękna, twarz niczego. Mężczyźnie wedle powszechnej opinii, dosyć by trochę od diabła był piękniejszym. Herciński też acz blady i nie wesołej twarzy, nie odrażał. Chodził sztywno,

obracał się jak z jednej sztuki wyciosany, ruchy miał niezbyt wdzięczne, za to wiedzieli ci, co go lepiej znali, że nań w każdym razie rachować było można, kto go nie lubił, szanować musiał. W konkurach natarczywym się okazywał, cierpliwym za to bardzo, panna go lubiła dosyć i nie zrażała — on czekał.

Machcewicz Litwin, nie dawno przesiedlony w Brzeskie, utrapionym był i bodaj najdokuczliwszym dla Ewuni. Mały, gruby, krzepki, zdrów, ruchomy jak żywe srebro, krzykliwy, śmiechu pełen, czysty komedjant, choć pierza nie miał, a mięsa mało, nadrabiał za oboje fantazyą i wszędzie go było pełno.

Sam podczaszy nieustannie go mitygować musiał i za rękaw od córki odciągać. Ten ze swych konkurów, miłości, zapalczywości, żadnej nie czynił tajemnicy, śmieli się zeń, śmiał się z niemi, klękał na środku sali

przed Ewunią, bo historye rił, nędzne wiersze kleił, zaklinał się, że rywalów porąbie. Ewunia ramionami ruszała. Nikomu on nie wydawał się niebezpiecznym, nikt też go nie odpychał, a biedaczysko korzystał z tego o tyle, że na piękną swą patrzył.

Nie było trzech dni, żeby do Góry nie zawitał, nieproszony nocował, niezaproszony powracał, przychodził pieszo, przyjeżdżał konno, saniami, wózkiem, czepiał się przy drugich, byle się swemu słońcu przyglądać.

Oprócz tych, jeszcze się tam kręciło mniej pokaźnej młodzieży, o której zamilczeć można, z wyjątkiem jednego ubożuchnego chłopca, który przy mecenasie się aplikował. Zwał się Sykstus Warka Wawrzyński, i był dobrego rodu, z niegdyś majątnej familji, która wszystko przez procesy straciła. Krewni zaopiekowawszy się sierotą, popchnęli go do szkół, a potem do palestry, w nadziei bo-

daj, że prawa liznąwszy, utracone mienie choć w części odzyska. Tymczasem chłopak nie miał nic, ino tyle co sobie skrypturą zarobił. Za to mu Pan Bóg dał urodę, i twarz śliczną, budowę Herkulesową, zdolność wielką, i skromność bodaj większą jeszcze. Kochali go wszyscy, litując się nad nim, a no mało kto go popychał i sam weselnie drogę trzebić musiał.

Przez pamięć na ród i na dawne w powiecie zasługi ojca, ten i ów go poprosił, podczaszy też, bo nawet było tam jakieś dalekie pokrewieństwo. Sykstus stawał zawsze za drugimi, położenie swe znając, cichy był, układny, potulny i to mu serce jednało. Jego też tam nikt by był ani śmiał liczyć między konkurentów, bo do ręki bogatej podczaszanki, ani mu się było umywać, ale ktoby był się przypatrzył jakim na nią wzro-

kiem ciskał, odgadł, by łatwo co się w sercu biedaka działo.

Często gęsto, jak krewniak, używany był do Góry, żeby coś przepisać, w interesie poradzić, za sprawą pojechać, i podczaszy się nim chętniej posługiwał, że mu za to sowicie zawsze wynagradzał, a chłopca bardzo lubił, tylko te nieszczęśliwe odwiedziny i przesiadywanie w Górze, przyczyną były, że chłopak zaszłapał brzydko. A no rozum miał i chował to w sobie jako mógł, gdyby tylko miłość i kaszel, wedle włoskiego przysłowia, ukryć było można. Jego się nikt nie obawiał i nikt nań nie zważał, a on się sobie karmił też i poił tym widokiem Ewuni, za którą wszyscy szaleli. W młodości byle kochać, wielkie to już szczęście, a nie jednego pocziwa miłość od niepocziwego życia wybawiła. Sykstus sobie swym obyczajem stał w najciemniejszym kącie. Podczaszy po niego po-

słał furkę sam, bo mu był do pomocy potrzebny. Gości się zjechało dosyć miał się kim wyręczyć, bo jemu i klucze i dozór i oko nad ludźmi, i od ognia bezpieczeństwo powierzyć było mczna śmiało. Do tego też tylko i służył tu, że go wszyscy posyłali i miotali nim jak chcieli.

Ani się skrzywił na to, leciał wesół na wysługę, wracał prędko do swojego kąta i skromniuchno ubrany stał sobie w cieniu, nie zawadzając nikomu.

Długa była sprzeczka o to, czy przed wieczrą zacząć tańce, bo się młodzież dowiedziała, że skrzypki nadjechały, ale żydów trzeba było odegrzać, bo to naród na zimno bardzo czuły, i tak się ciągnęło że i wieczera była gotowa. Wszystkim się to podobało, bo już po niej nieprzerwanie można było do białego dnia hasać, podkurek mając zawsze pod ręką w drugiej izbie gotowy.

Podkomorzy, człek poważny, wziął gosposię, bo się uparł z nią iść przodem, i pociągnęli do stołu zastawionego gdyby na dwa razy liczniejsze towarzystwo. Nie szkodziło to, bo zimą jada się wiele, po podróży jest apetyt zawsze, wino też otwiera głód, a młodzi muszą się posilić, mając zwłaszcza ciężki trud przed sobą.

Tłumnie, wrzawnie, ochoczo oblegli stół, gdy z bata raz po razu nie wiem wiele razy wypalono przed ganikiem. Goście nowi jechali! kulig! kulig!

I zerwano się od stołu.

Kulig, jak się domyślano, przybywał z Kurzej Piętki; a dla tych co dworu tego, gospodarstwa i ludzi nie znali, długoby potrzeba tłumaczyć co się tam działo i na czem to stało. Prawdę powiedziawszy, nie rozumiano dobrze ani gospodarstwa, ani gospodarzy, choć się na nich od lat kilku patrzano.

Ludzie byli nowi, przybyli z Rusi ode Lwowa, objęli wioskę w spadku, a była i niewielka i zrujnowana, i licha z natury, ani ziemi, ani boru, ani żadnej rzeczy, z którejby można grosz wyciągnąć. Ostatni dziedzic, stary Przyrowa, biadał, stękał, długi robił, i zamęczył się na tej Kurzej Piętce. Włóścian się dużo rozeszło po świecie, grunta leżały odłogiem, że na nich tylko aptekarze dziewannę zbierali, w lesie kradł kto chciał, i z sąsiedztwa żydek nikogo nie pytając pnie kopał, a smołę pędził. Pustka to była aż się serce ścisnęło, gdy pan Herman Przyrowa z żoną swą Heleną z Purstlów i synem Dydakiem przybyli na objęcie spadku. Głos powszechny był, iż Przyrowa, synowiec, niepomny swojego szlacheckiego herbu, gdzieś się tam kupiectwem trudnił, drudzy przeczyli. To pewna, że przybywszy tu a zobaczwszy, co się im za szmat ziemi dar-

mo dostał, głowy potracili. Stanał jakby czarodziejską różeczką wzniesiony pałacyk, zasadzono ogród, mury budynek folwarczne, pieniądzy sypano, włościanie dostali zarobek i pustka się zaludniła. Przyrowa Niemca sobie do gospodarstwa sprowadził, a tymczasem jakby mu na sercu leżało szlachcicem się i po szlachecku okazywać, otworzył podwoje i począł bardzo gościnnie panów szlachtę przyjmować. Poił i karmił co wlażyło, przecie nosami kręcili mówiąc, że im pieprzem śmierdział. Prawdą było, że do naszego pospolitego szlachcica podobny nie był, nosił się po niemiecku w tabaczkowym fraku z guzikami ogromnemi, z harcapem, w spodenkach opiętych. Jejmość też z cudzoziemska zarywała mówiąc, a chłopiec Dydak był wychowany na niemieszka, tak że go dopiero na wsi zaczęli odczyszczać, żeby do ludzi był podobniejszy.

Nauczył się nieźle mówić, ale wyglądał śmiesznie i Pan Bóg go upośledził, bo jak był duży, rosły, zdrów jak wół, tak na umyśle leniwy i do zbytku prostak. Nie wiele brakło by zupełnym został głuptaskiem. Ale stroili go rodzice, niczego wyglądał, i wszyscy mówili że będzie bogaty, więc mu się panny śmiały.

Zkąd owe Przyrowów dostatki się brały, nie zgadnął nikt, to pewna iż o pieniądze nie zatroszczył się nigdy i sypał niemi bez zastanowienia. Wracający z Rusi, nigdy tam o nim, ani o bogactwach tych nie słyszeli.

Ponieważ młodym byle skakać a śmiać się, wszędzie dobrze, a u Przyrowów lustyk był nieustający, drzwi się w domu nie zamykały. Gospodarz i gospodyni uprzejmi byli nad podziw, byle im synalka promowano. Byli zaś tacy co go byli gotowi, mimo upośledzenia nawet, posłem na sejm kreować. I dziw o się nie bar-

dzo można, boć na sejmowych łowach, i milczących figur potrzeba, inaczej by rozprawom końca nigdy nie było.

Kulig w istocie jechał z Kurzej Piętki, dokąd się dosyć gości zgromadziło, a że muzykę z miasteczka zabrał podczaszy, postanowili wszyscy najechać hurmem, gromadnie na dwór w Górze. Ktoś weselszy skomponował sobie, aby tak z prosta nie jechać, ale niby z chłopskiem weselem.

Więc się wszyscy poprzebierali, oprócz starego Przyrowy i jejmości. Dydak w sukmanie, czapce baraniej, pasie, butach do kolan, grał pana młodego, i niczego mu z tem było. Panna Ciwunówna Marta Żyrowska, piękna i rozumna a dojrzała już dziewczica, narzeczoną, jeden z sąsiadów marszałka, drugi starostę, inni druhów i družki.

Koszul szytych, pasów, koralik, bursztynów, napożyczano, inne też stro-

je nie bardzo były ściśle naśladowane, a dość, iż to być miało wesele i starosta wpadłszy naprzód, oświadczył, że do dworu wytańcować się przyjechali.

Podczaszy niezmiernie się radował, i w oka mgnieniu Sykstus zarządził, aby stół przedłużono, bo trafiwszy na wieczerzę, naprzód weselisko musiano uraczyć, potem w tany prowadzić. Dydaka więc z panną Martą Żyrowską posadzili, jako państwa młodych na honorowem miejscu, reszta się rozsiadła jak mogła i harmonija a wesołość ożywiły ucztę. Jedynym dysonansem w niej był stary Przyrowa, w peruce z harbejtlem i jego połowica z Purstlów, zarywająca z niemiecka. Wydawali się oboje jak dwa gwoździki czarno w biały placek wtknięte. Dydak też, który musiał przez grzeczność odgrywać rolę męża panny Marty, jako prostoty pełna istota, siedział nachmurzony, bo twarzą

kłamać nie umiał, a na sercu mu było ciężko. Wiedzieli wszyscy że się w Ewuni szalenie kochał, zdało mu się więc złą wróżbą, tak przed nią występować, niby żonatym i zmuszonym odpowiadać na śmiałe zaczepki panny Marty Żyrowskiej, która mu umyślnie pokoju nie dawała.

Trzeba było znać Ciwunównę, która trzydziestego roku w panieństwie dożyła, polując na mężów, trzy razy zaręczana pono, a nie poślubiona ani razu, aby pojąć, co z biednym prostaczkiem Dydakiem dokazywała. Panna Marta była brunetką i bardzo piękną, śmiałą, dowcipną, a złośliwą. Miała do świata i ludzi srogi żal, i mściła się z rozkoszą. Gdy jej wpadł w łapki, a bronić się nie umiał, dawała mu się dobrze we znaki. Pokoju chwili nie miał. Śmiechu dokoła było dosyć.

Działo się to w jadalnym pokoju, kędy dla wrzawy trudno było się

rozgadać, część poufalszych gości po napływie nowych, wyniosła się do bokówki, gdzie Sykstus naprędce nakryć kazał dla domowych i znajomych. Zasiadli tu starsi, którym więcej szło o wygodę i spokój, niż o towarzystwo niewieście. Młodzież z talerzami uwijała się za krzesłami pań i panien. Z półmisków ledwie który i to z resztkami dostał się do siedzących na stronie.

Tu się zebrali, ksiądz Reförmát, kapelau, zwany Gulą, gdyż miał koło lewego ucha guz duży i pan skarbnik Zarzecki, staruszek, żadnego już oddawna nie strzegący skarbu, bo od dworu do dworu po krewnych i przyjaciółach sobie jeździł, i pan Paweł Sinicki, rządca obszernych dóbr Sapiieżyńskich, człek skromny. Sykstus im postawił półmisek z resztkami sarniny, mieli też parę butelek wina, a później nadeszła kaszka zamrożona z sokiem, głodu więc nie doznali.

Skarbnik siedział bokiem, tak że mu przez pustą salę na jadalny pokój otwartymi drzwiami wszystko widać było, patrzył też z pod brwi siwych nawisłych, uważnie i coraz to westchnął.

— Co asindziej tak tęskno powzdychujesz? — spytał Gula — czy jegości żal młodości, czy zazdrość że tamtym na świecie wesoło?

— I, nie! — odparł szepleniąc skarbnik — a no sobie myślę, myślę i przemyślam, kto tę jagódkę zerwie.

— Jeśli asindziej mówisz o pannie Marcie — przerwał rubasznie Gula — turbacja słusznna, bo jagódka dojrzała, dojrzała!!

Skarbnik się omal sarniną nie zadławił ze śmiechu, ręką o stół uderzył.

— Co też to sobie, reverendissime, żartujesz — zawołał — toć to już jagoda, jagoda! jagódka co ją ledwie słońce zarumieniło, to nasz aniołek

kochany, panna podczaszanka. — Hej! hej! — mówił dalej, potrącając na pół próżnym kieliszkiem — jak człek patrzy na tę świeżość, młodość, śliczność, a pomyśli jakie to ją może losy czekają! aż się serce ściska.

— Co za losy czekać mają — ofuknął Bernardyn — takiego ojca córka, piękna, bogata, rozumna, dobrego rodu, też to aspirować może bodaj do największych splendorów! A ma, chwalić Boga, w czym wybierać!

Skarbnik głową pokiwał, jakby niedowierzająco.

— Zapewne że ma w czym wybierać — szepnął cicho pan Paweł — ojciec dobrodziej ma słuszność, wszystko w niej zakochane, jak koty.

— Ale to wszystko, wszystko, ta dzisiejsza młodzież, to plewa, mospa nie, lekka, faryna, fu! fu! — mówił skarbnik — na oko niby się to świeci, a w rzeczy, niewiele warto.

— O! o! przerwał Gula — nibyście

wy lepsi byli, co to za gadanie, Popatrz-że no asindziej, dalipan, młodzieży tej zarzucić nic nie można.

— Ino że to młodzież nie jest...—
zajakując się i szepleniąc, a sarniny
sobie na talerz dokładając mówił
skarbnik. — Fantazji to nie ma, hu-
moru mało, potulne jak baranki, wy-
cienczone, zbladłe, tfu! lekka taryna!
— powtórzył—ona co lepszego warta.

I wskazał ręką na drzwi.

— Ojciec powiadasz że jest w czym
wybierać... no, egzaminujmy.

— A no, by cenzurować, tak mo-
że by się nie godziło — przebaknął
pan Paweł.

— Czemu? czemu? nie ujmując
nikomu — rzekł skarbnik — niech
ojciec przywołuje sprawy, ja się sę-
dzą obieram.

Gula się począł śmiać.

— Naprzód pan Walenty Brocho-
wicz, sędzic nasz, no cóż, chłopiec
jak lalka? majątny, ładny i pocciwy.

— Ino lalka — rzekł skarbnik — a to bieda, że lalka. Wojskowo nie służył, prawa się nie uczył, pisze jak kura, gospodarz z niego nie ciekawy, koniki ma ładne i po wszystkim. Toć to dopiero ciasto, z którego żona kołacz albo obwarzanek zamiesi.

-- E! e! jaki bo z asindzieja krytyk! -- mruknął komisarz — jeszcze kto posłysz.

— A no, ja na siebie biorę... — szeplecił stary — dalej kto?

-- Pan Szczepan Janosza Zboiński, pisarzowicz, co przeciw niemu?

— Ino to że niewiadomo co w nim siedzi. Ja nie lubię młodzieży, co zawczasie na zagonie legnie, z fuzijką chodzi, bąki zbija i nie służy gdzie powinna.

— No, a rejent?

— Co znowu? obraza Boża! — zawołał skarbnik -- szpak już, niech się z Martą żeni, nie powiem nic, ale z aniołkiem tym!

— A Herciński?

— Szanowny człek, tylko go przy-
mierzcie do naszej pani, jakaby to
para była, oset z różą. Nawet mi się
zda że ospowaty I — nie!

— A Machcewicz?

— To utrapiony Litwin, pokoju
by z nim nie miała i ogłuchła od
jego śmiechu, gadania a krzyku, a
baryła już dziś; cóż będzie potem?

— A pan Dydak?

— A pan Dydak! — parsknął skar-
bnik, ruszając ramionami — jeszcze-
by też, jeszcze! dajcie mi z nim po-
kój. Widzicie, — dodał — przebrało
się wam konkurentów, a wszyscy ro-
baczliwi.

— To wy jesteście robaczliwym,
satyrykiem, zoilem! — zawołał Gu-
la — wstydzilibyście się na starość
tyle jeszcze mieć zółci.

— A kiedyż ją mieć jeśli nie na
starość — przerwał skarbnik — prze-
cie na nią człek cały życie pracuje?

Nie uważali, że od kwadransu, Sykstus wsparty o stół, rozmowie się przysłuchiwał. Zrozumiał o co chodziło i pokraśniał cały, zdawało się że coś przemówi, bo mu usta drżały, milczał przecie. Wtem Gula nań długo popatrzał, wyzywająco.

— No, a waść co na to?

— Ja? a mnie co do tego? — zniżonym głosem odezwał się młodzik — mnie co do tego.

— Jak to? jak to? asindziejowi obojętna rzecz, jaki los spotka córkę jego dobroczyńcy i kolligata, i w tak serdecznej materji nie masz asindziej zdania? — zapytał skarbnik.

— Jestem za młody, abym o starszych i godniejszych wyrokował — ozwał się Sykstus skromnie.

— Chwalebna bardzo wstrzemięźliwość — przerwał skarbnik — ale zarywa na ostygnięcie i obojętność.

Zarzut ten wywołał rumieniec na

twarz Sykstusa, podniósł się i wyprostował, wzrósł jakoż.

— Chcesz waćpan — zawołał — abym powiedział co myślę i dał dowód, że czuć umiem — no, to powiem, powiem, że mi się tu tego bóstwa nikt nie wydaje godnym, że nie ma, a raczej nie widziałem jeszcze istoty coby ziemię, którą ona stopą dotknęła, ucałować był godzien. Cóż dopiero pdać jej do ołtarza rękę.

Zarumienił się, zawstydzik, pomiarkował i pod pozorem, że go potrzebowano, pierzchnął. Wszyscy po sobie spojrzeli, skarbnik głową potrząsł, komisarz spuścił oczy, Gula uśmiechnął się.

— Słyszeliście? — spytał skarbnik — co to przez niego zagadało? he?

Reformat dobył tabakierki zwolna, pokręcił wierzch jej aż zapiszczał, począł zgarniać tabakę w stożkowa-

tą formę, ujął niuch w szerokie palce, pociągnął mocno i zapatrzył się w sufit. Nagle, jakby sobie co przypomniał, tabakierkę wyciągnął ku skarbnikowi, który podziękował i podał komisarzowi, który przyjął i palce w mej umoczył.

— A wiecie waćpanowie? — rzekł skarbnik — prawdą a Bogiem, ten oto mizerota, ubożuchny Sykstus, więcej wart od nich wszystkich, i gdyby sprawiedliwość była na świecie, jemuby się jagódka dostać powinna.

— O! o! o! jeszcze! co asindziej bałamucisz! co? gadaj-że, pleć pleciucho! — zawołał Gula — koszałki opałki! Ten! chłopak, pauper! golissimus! Gdzież to asindziej widziałeś by się takie dobierały stadła! Dali- byście gadaniu pokój.

Komisarz podniósł głowę ostrożnie, jak żółw ze skorupy.

— Za pozwoleniem — odezwał

się — mnie się widzi, że w tej rejestradzie popełniono omyłkę.

— Jaką? — spytał Reformat.

— O jednym poważnym konkurencie zapomniano.

— A mianowicie? — podchwycił skarbnik.

— O panu chorażym Brdęskim.

— Widzisz asindziej, szanowny panie Pawle — począł skarbnik — rzeczą nie jest całę dowiedzioną, a żeby choraży Brdęski ważył się posunąć ku podczaszance. Człek niemłody, niezamożny, sterany, bo to pono wsze kąty świata wycierał, jak żeby oczy podnieść śmiał na tę lilję.

— Tylko co była różą — przerwał Reformat.

— Róża, lilia, fijołek, aniołek, gwiazda, wszystko to jej przystało — rzekł skarbnik. — Litanię bym całą ułożył.

Reformat paska dobył z pod stołu i po rękach strzepnął starego.

— A co to ty mi stary bezbożniku będziesz tu takie androny plótł? Cicho mi, cicho.

I mówić też dłużej było trudno, bo się wrzawa zbliżała. Wstawano od stołu, skrzypki i bassetla poczyły się stroić w większej sali, towarzystwo gromadnie do niej przechodziło, a część jego zabiegała i do pokoju, w którym nad próżnym już półmiskiem naszych trzech siedziało.

Trzeba i im było wstać, bo oto pan Dydak Przyrowa, kwaśny i skonfundowany, pannę w wieńcu wiodąc, szedł, przodując weselu; a za nim wiódł Ewunię podkomorzy, choć stary, uśmiechając się do niej, jakby w cudowny obraz patrzył.

*

*

*

Choć zimowa noc jeszcze w styczniu długa, przetańcować ją młodym łatwo, a starym przegwarzyć.

Poczęły się tany od polskiego zawczasu, a ani się opatrzone, jak na wschodzie wyiskrzonym poczęło świtać. Skrzypki, choć je pojono, ledwie już rzępolili, basista drzemał, tak, że głową coraz o szyję instrumentu uderzał, a no już z nawyknięcia swoje dwie nuty piłował, choć śpiący. Klarinetowi tchu nie stało, trzymał go w ustach, ale rzadko kiedy zadał i to tak piskliwie jakby się prosił, żeby mu już pokój dano.

Kulik też z Kurzej Piętki wybierał się z powrotem, zapraszając do siebie i powoli goście się wymykali, wołając o konie, bo nikt dłużej nie chciał podczaszemu po takiej nocy kłopotliwej być ciężarem.

Panny nawet ustały i poprzysiadaly po kątkach, mało która do ostatniego mazura wziąć się dała. Na twarzach widać było znużenie. Miało się rozjeżdżać, tylko koni doczekać się było trudno, służba też dłu-

go w noc sobie pozwoliła przy wódce na folwarku, i teraz się jej dobudzić było niepodobna. Dla znużonych gości roznoszono kawę, winną polewkę i bulion po sali, w której kątku piękna gosposia z włoskami od tańca porozplątywanemi, usiłując je pozbierać do porządku, siadła przy pannie Marcie Żyrowskiej. Tej także wianuszek był spadł z czoła, trzymała go w ręku, biała zasłona była podarta w kawałki, a we wpadłych czarnych jej oczach więcej było smutku i złośliwości, niż wesela.

— Używaj młodości szczęśliwa — szeptała panna Marta Ewuni — tyleż to naszego pókiśmy dla nich boginiami, używaj, ale nie wierz z nich nikomu? Każdy ci się będzie zaklinał, że kocha szczerze, ale ta ich miłość w twoich folwarkach, w ojcowskiej szkatule, w ślicznych oczkach, w młodej buzi. Serca oni nie mają, ino chciwość wszystkiego! Chci-

wość twej młodości, twego bogactwa, a potem, próżność w nich gra, aby jeden drugiego ubiegł, a potem... O! — zawołała, rzucając ręką — wszyscy oni ile ich jest, bez sądu na szubienicę!

— Moja ty Marciu! moja ty droga! — odezwiała się patrząc na nią Ewunia — co też ty wygadujesz! Są może jacy gdzie źli ludzie na świecie, ale tu niema.

— Tyś jeszcze dziecko! zobaczysz, to gadziny, to kameleony, to krokodyle.

Ewunia parsknęła, ale innym śmiechem, i pocałowała ją.

— Zkąd ci taki gniew do nich?

— Gniew! jeszcze by też! żebym ich miała gniewem moim zaszczyścić — odezwiała się szydersko — ja nimi gardzę.

— No, a mnie się oni wszyscy bardzo podobają — naiwnie domówiła Ewunia — doprawdy.

— Bo się dziś wszyscy kochają w tobie, nawet ten głupi mój Dydak. Żebyś była widziała jak on cię temi swemi wołowemi oczyma pożerał przez całą noc.

— To ci się tak zdawało?

— Trzech nie zliczy, a zdrajca! — zawołała panna Marta. — Wczoraj jeszcze był u nóg moich, prawdziwie, powiadam, że gdybym chciała, byłabym go do oświadczenia doprowadziła, no, a dziś, kiedy miał taką doskonałą okazję przy tym kuligu, słowa mu z ust dobyć nie było podobna.

— Czyż ty go kochasz? — zapytała Ewunia.

— Ja? ja? — ruszając ramionami rozśmiała się panna Marta — ale ja go nienawidzę.

— A na cóż ci było jego oświadczenie?

— A no, naprzód żebym miała uciechę z kwitkiem go odprawić, gdy-

by mi fantazja przyszła, powtóre, żebym raz przecie może i zamaż poszła, jeśli by już bardzo prosił.

— Za tego kogo nie kochasz?! — zdziwiona przemówiła Ewunia.

-- Ja żadnego już z nich kochać nie mogę — mówiła, wzdychając panna Marta — a miałabym się na kim mścić, gdybym sobie męża wzięła. Tenby mi odpokutował za nich wszystkich.

Ewunia spoważniała, patrzyła na nią z podziwieniem, kręciła główką, ruszała ramionami białemi, słuchała jakby nie rozumiała.

— I chciałabym — dodała Marta — abyś i ty, i my wszystkie spisek uczyniły i mściły się na nich.

— Taka jesteś zawzięta!

— Okrutnie! — zawołała z gniewem panna Marta.

Nagle przerwała rozmowę, pochyliła się do ucha Ewuni i szepnęła:

skich.

— No, przyznaj się mi, nie powiem nikomu, któregoś z nich wybrała?

Dziewczę zarumieniło się mocno, oczyma sałę przebiegło, wróciło wzrokiem do towarzyszki i zaczęło się śmiać uciśnym śmiechem dziecka.

— Żadnego! — zawołała, robiąc minkę smutną.

— To być nie może; Walek bardzo przystojny chłopak i do rzeczy.

— O! podoba mi się też — potwierdziła Ewa.

— A widzisz!

— Ale Szczeppek też miły i roztropny, i tamtemu nie ustąpi — dorzuciła Ewunia. — A Herciński choć smutny, ale z nim pomówić miło, i wszyscy go chwalą, a rejent wesóły i serce ma dobre, a Machcewicz taki uciśny.

— A Dydak? — spytała Marta.

— No cóż? i to dobre stworzenie.

-- I wszyscy ci równie mili?

— Doprawdy! — odpowiedziała Ewunia.

— I do żadnego ci serce nie bije, gdy przyjeżdża, i za żadnym nie czujesz tęsknoty, gdy go długo nie ma?— mówiła Marta.

Ewunia pomyślała.

— Doprawdy nie tęskno mi po nikim, choć każdy mi gościem miłym.

— Ty jeszcze jesteś dziecko! — zawyrokowała Marta, podnosząc się z siedzenia, i pocałowała ją w czoło. — Zachowaj to serduszko zamknięte, niech się rozpadają, niech szaleją, niech warjują, a ty się śmieję.

Wtem Dydak nadszedł, podając rękę swej narzeczonej, a patrząc na Ewunię jakby zmiłowania prosił; panna Marta uderzyła go po rękę, wstała, — i kulig, zabierając z sobą muzykę, która szła grając marsza aż do ganku, wśród wiwatów i okrzyków, wyruszył do Kurzej Piętki.

*

*

*

Zapusty rozpoczęte zabawami w Górze, później u państwa Przyrowów, którzy świetnie występowali i trzy dni całe nie puścili gości, zmuszając ich na przemiany jeść, pić, skakać, skończyły się u pana podkomorzego, gdzie cały poniedziałek i wtorek do północy tańczono nader ochoczo.

Byli tacy niesumienni ludzie, którzy zamierzali zegary pozatrzymywać i o parę godzin jeszcze przeciągnąć zabawę kosztem postu, ale surowy kapelan podkomorstwa, ksiądz Hieronim, zgromił śmiałków i równo z wybiciem dwunastej, wniesiono na półmisku starym obyczajem śledzia, skrzypki ustały, post się zaczął.

Czas też było wytchnąć, bo w ostatnim tygodniu, nie spał prawie nikt i młodzież nawet nóg pod sobą nie czuła.

Na twarzy Ewuni, jaśniejącej krąsą młodości, znać było znużenie, pokryjomu ziewnęła nieraz, panna Marta

nie poznawała się w zwierciadle, tak ją karnawał zmęczył. Co najgorzej, przeszedł on dla niej napróżno, znowu się nikt nie oświadczył, tak, że nienawiść jej do mężczyzn jeszcze się zwiększyła, i bliską była postanowienia, że nigdy za męża nie pójdzie, karząc to plemię niegodne, najostateczniejszą wzdardą.

Popielec wcale nie zasługiwał już na nazwisko pięknego dnia zimy, była szara i wilgotna pora, śnieg tajał, sanna się popsuła, chwilami deszcz kropił, dymy się wlokły, i wszyscy kwaśni się rozjechali od podkomo-rzego. Walek i Szczeppek siedli do jednych sanek, a że do sędzica było bliżej i dom kawalerski, obaj postanowili odpocząć; gdyż się jakoś znowu poprzyjaźnili z sobą. Ale jechali też obaj równie smutni i żaden z nich pochlubić się nie mógł, aby choć na krok dalej postąpił w łaskach Ewuni. Dla obu była bardzo grzeczna,

wybierała ich do tańca, rozmawiała chętnie, śmiała się do nich, lecz gdy który dwuznacznemi słówkami próbował dowiedzieć się co o serduszkach, czy udawała, że nie rozumie, czy nie rozumiała.

Około godziny dziesiątej pomeżeni, śpiący, dostali się do dworu w Zajezierzu, gdzie na swą biedę zastali chłód przenikliwy, bo służba, później się pana spodziewając, pieców nie porozpalała. Musieli więc w niedźwiedziach siedzieć, dopóki ogień na kominie i w piecu nie dozwolił się rozebrać. Walek był dosyć gospodarzy, w domu nie brakło, napili się polewki winnej i gospodarz wniósł, żeby się położyć spać a zaległości wypłacić, bo obaj byli drzemiaczy.

Polewka jednak troszkę ich porobudzała.

— No, co ty mówisz, Szczepiek — odezwał się gospodarz — co począć z tą dziewczyną! Ja ci się przyznam,

że przez te zapusty rozkochałem się w niej jeszcze gorzej niż byłem, a ona jak z kamienia.

— Co mi ty mówisz — westchnął gość — a w mojem sercu lepiej? Tylko podobno my obaj będziemy musieli dać za wygrane i pójść z kwitkami, bo tam już ktoś stanął gospodą.

— Kto? — zakrzyczał Walek — kto? na miłość Bożą.

— Kto! napewno to ja tego nie wiem, ale poszlaki są duże i bodaj niemylne.

— Ale kto? — powtórzył Walek.

— Taki, którego by się żaden z nas ani spodziewał, ani domyslał, ani przypuszczał, taki.

— Ale kto? — wołał ciągle gospodarz.

— No, to ci już powiem — rzekł Szczepek kładąc się do łóżka z westchnieniem — pauper jeden, Sykstus Warczyński.

Walek osłupiał.

— Żartujesz, czy co? to nie może być? On tam mało nie marszałka dworu rolę gra. Wysokie progi na jego nogi. Jemu się nie śni.

— Ale się w niej kocha, to pewno, i ona mu sprzyja, to też niezawodna.

Walek głową trząsł.

— Juściż by takiego hołysza nie mogła sobie wybrać.

— Nie mów co kobieta może lub nie może, ich nikt nie zrozumie — rzekł Szczepk. — Temu jednak przeszkodzić można i należy, bo to pokatna i zdradliwa miłość, niepoczciwa intryga tego chłystka. Podczaszy nie wie nic, a jak się dowie, chłopca przepędzi gdzie pieprz rośnie. Ewunia się wypłacze i plac będzie wolny.

— No, to trzeba żeby się podczaszy dowiedział — zawołał Walek — nie godzi się aby go tak oszukiwano.

— Otóż sęk! kto mu to powie, ani ty, ani ja, pewnie.

Walek się zamyślił.

— Gdzieżeś ty to wykopał? — zapytał — bom ja nic podobnego nie widział.

— Ja mam dobre oczy — mówił pisarzowicz — i gdy tego potrzeba, potrafię chodzić koło interesu. Nie byłbym ani nawet na tę myśl wpadł, gdybym przypadkiem nie dostrzegł jak on na nią z kąta patrzył. Oczy mu się paliły, bladł, czerwieniał, drżał. A no, kiedy — tak rzekłem — trzeba lisa z jamy wykurzyć. Począłem go śledzić i ją też. Parę razy poleciały jej oczki w kątek, gdzie on stał i zatrzymały się, on drżał, ona się rumieniła, coś do siebie mówili wyraźnie. Zawołano Sykstusa, ja, nie dając poznać po sobie, za nim się włokłem, nie było go długo. Wyszła panna Ewa też. Spotkali się w bocznym pokoju, coś poszeptali i jak o-

parzeni rozbiegli. Wszystko to były znaki. Przy wieczerzy w Kurzej Pięcie, gdzie, choć zaprosili Sykstusa, miejsca dla niego nie stało, panna na talerz wzięła pieczystego i poszła go sama nakarmić. Słowem, powiadam ci, tysiąc poszlaków, a skarbnik mi mówił, że gdy Sykstusa raz o nią zagadnęli, odezwał się tak, iż języka w głębie zapomnieli. Buchało z niego. Zresztą jam to już niejedną tej tajemnicy panem, drudzy też potroszę się domyślają.

— To niechżeby kto powiedział podczaszemu, a przestrzegł — dorzucił Walek.

— Namawiałem Gulę, bo to jemu byłoby najskładniej, a najwłaściwiej, dał mi tabaki, potrząsł głową i odmówił, to nie moja rzecz.

— Któraś ze starszych pań powinna by to uczynić, albo — mówił Walek zamyślony.

— Albo co? — ziewając odezwał się Szczeppek.

Gospodarz nic nie odpowiedział.

— Kwestja jeszcze — począł po chwili — jakby to przyjął podczaszy. Zdaje się człek dobry, grzeczny, miły, ale jak tam w domu i z córką, tego nie wiem.

— Kocha Ewunię, to pewna, nad życie — mówił Szczeppek — w towarzystwie do rany go przyłożyć, ale ci, co go znają bliżej, mówią, że i uparty i impetyk. Gula powiada, iż za lada kogo nie wyda złotego jabłuszka, a jak po myśli człeka znajdzie, wahać się nie będzie choćby córkę zmusić do ołtarza. Powiada słyszę zawsze: Co to mospanie zwać na dziecinne fochy, kiedy człowiek w sumieniu przekonany, że dobra pragnie i lepiej się zna na tem, niż płocze dziecko. Przeplącze, przeboli, a potem będzie wdzięczna. Nie

już matka da dziecku trucizny dla tego, że płacze?

To są jego własne słowa.

— Na prawdę rzekłszy, nie o pannę się trzeba starać — dodał Walek zamysłony — a o ojca. I czem go tu ująć?

— Otóż to nie łatwo! — mówił gość — stary śmieje się do wszystkich jak córka, słodki, grzeczny, nie uchybi nikomu, a nikt go jeszcze tak sobie nie ujął, żeby miał wpływ i przewagę. Milczy i robi swoje.

Westchnęli obaj na jeden ton.

— To pewna — szepnął Walek — że przez całe te zapusty nie pochwalili się nikt, żeby na włos się posunął dalej i doznał preferencji. Dziewczyna nie zrozumiała, a kochać jej przestać — niepodobna! Ciągłe ci przed oczyma się wije.

Mówili tak jeszcze, gdy zachłapało przed gankiem, sanki po rozmię-

kłym śniegu się przywlokły, gospodarz oknem wyrzał i odezwał się.

— Jeśli się nie mylę to rejent. Musiało mu się chyba co koło sań lub w uprząży popsuć, inaczejby nie wstąpił do mnie.

Na te słowa w szubie ogromnej wtoczył się w istocie wymieniony, który, jak oni, powracał od podkomorstwa. Płozy połamał i od progu wołał: — gospodarzu, dobrodzieju, jeśli w Boga wierzysz, pożycz sań, bo dalej nie pociągnę.

— Dobrze, ależ choć odetchnijcie!

Rejent się na krzesło rzucił, aż zaskrzypiało pod nim, i począł się wyciągać.

— Ha! — zawołał — przecież karnawałowi koniec, skończyła się nasza pańszczyzna, czas spocząć.

Spojrzał po nich.

— Coś wy obaj nosy na kwinty! cha! cha! bieda? nieprawdaż. Ewunia

z nas żadnego nie chce, a w młodych sercach to okrutny ból.

— Czy pan rejent byłby szczęśliwszy? — zagadnął Szczepan.

— Drwij zdrow — rozśmiał się przybyły — ja daję za wygraną.

— Ależ komu? jeśli jest wygrana. Ktoś ją musiał wziąć? — począł Szczepan — czyby nas pan nie mógł nauczyć kto? boć to ciekawa rzecz.

Rejent popatrzał na nich obu.

— Ot — rzekł — spalibyście, a jeśli jest łóżko, dalibyście trzecie mnie, zapustne historie skończone, zaśpiewajmy *Gorzkie Żale*.

Zbył ich tedy niczem, ale łącznie spostrzegli, że miał w sobie smutek i żal, z którym się wygadać nie chciał, i dali mu pokój. Posiliwszy się tedy poszli spać wszyscy ilu ich było, i spali aż pod wieczór. Nowy gość ich przebudził, zajechał Machcewicz i z łóżek powyciągał.

— Otóż to mi mi 'zież — zawo-

łał — patańcowali kilka nocy i już muszą ze dnia robić noc, tak się to pomęczyło. Wstyd! hańba wiekuista! a ja? patrzajcież? choćby jeszcze do obertasa?

Okręcił się na jednej nodze. Rejent podniósł się aż z pod kołdry, żeby na niego popatrzeć.

— Gracki — rzekł — nigdy też nie wątpił że w waćpanu djabeł siedzi, o czem się przekonywam najdowodniej, widząc go skaczącym we środe popielcową. Czy nie oświadczyłeś się czasem pannie Ewie i czy nie zostałeś przyjęty, że ci tak na sercu wesoło?

— Licha mi tam wesoło! — zakrzyczał Machcewicz — cieszę moją biedę jak mogę, a żem się w karczmie na drodze dowiedział, iż tu jest zjazd nieszczęśliwych konkurentów jak ja, przystawiłem się właśnie do wspólnej narady.

— Nie! to chyba na świecie jesz-

cze niewidziana rzecz — ozwał się rejent przecierając oczy — żeby niefortunni koloandrowie do kupy się zebrali opłakiwać niedolę swoją. Brak nam wprawdzie chorążego, pana Dydaka i jeszcze może kogoś, ale zawsze komplet mamy i sesję zagaść można.

— Żart na bok, panie Machcewicz — ozwał się gospodarz — któż nas to wszystkich tam ubiegł?

— Ciekawym od was posłyszeć — zawołał zakochany Litwin — i bardzobym się dowiedzieć rad, bo go wyzwę i na kapustę posiekam.

Walek i Szczepiek spojrzeli po sobie, jakby się porozumiewali oczyma, ostatni chrząknął, spartł się na łóżku i począł powoli.

— Siekać nie ma kogo, ani się z nim rozprawiać, bo, choć to uczciwy a przezacny dom szanownego podczaszego, ale brudna intryga panię od wszystkich odstręcza. Jesteś-

my w gronie przyjacielskiem. Żaden z nas by nie miał za złe, gdyby pan-na sobie wybrała jak przystoi posesjonata, kawalera. No! są gusta różne i szczęście nierówne, lecz pójść z kwitkiem, odsadzonym przez łada hołysza i paupra, to boli.

Machcewicz drgnął.

— Co waćpan mówisz? przez kogo!

— A tećby chyba ślepy nie dojrzał — dodał Szczepk — że tam pan Sykstus Warka w serduszkku objął posesję, i oto przyczyna cała, dla której my łaski nie mamy.

Chwila była milczenia. Rejent się po łysinie pogładził.

— Jużście to 'spenetrowali! — bąknął — no, tak! i ja wiem, a dalej, co? Prawda, pauper, hołota, ale szlachcic, rodziny dobrej i chłopiec niczego.

— Za pozwoleniem, za pozwoleniem — mówił Szczepan — szlachcic, ani słowa, każdemu z nas równy,

nie przeczę, ino to w tym domu jakby na wysługach, i że despekt dla nas z lada dworzaninem rękodajnym, iść w zawody. A potem? starałby się jawnie, szedłby jasną drogą, niktby słowa nie rzekł, ale z kąta sobie intryżką serce dziewczęce uwikłać, my tego płazem nie przepuścimy.

— A no, ciekawym — przerwał rejent — co też ichmość począć myślicie.

— Co? — zawołał Walek — per fas, per nefas, trzeba podczaszemn oczy otworzyć, a toć ślepy! a to mu się w domu dzieje krzywda! i, pozwalając przez dobroduszość nie domyślając się niczego.

Machcewicz stał przybity, zadumany, a zły.

— Gdyby to była prawda — mruknął — tobym go posiekał.

-- Co waćpan tylko siekać a siekać! — ozwał się Walek — albo to on rąk nie ma, inaczej go trzeba za-

żyć. Szedł on ciemną drogą, potrafi-
my i my omackiem.

Wniesiono wino, które i w post
pić wolno, i kieliszek usta poza-
mykał.

*

*

*

Na całe miasteczko powiatowe, w
sąsiedztwie którego sprawy się na-
sze toczą, nie było gwoli peniaczom
i procesowiczom, tylko dwóch me-
cenasów, którzy się prowadzenia
spraw wszelkich podejmowali. Więc
jeśli podczaszy miał proces z podko-
morzym, a pierwszy pochwycić u-
spieszył Jaśnie Wielmożnego pana
Żółtkiewicza i Bołtuszkowskiego wię-
cej ich nie było. Z urzędu tedy swo-
jego byli nieprzyjaciołmi, stając wie-
kuiście przeciwko sobie, a znali się
tak dobrze, przez długie lata walki,
iż odgadnąć mogli argumenta jakich
używali i sposób prowadzenia sprawy.

W międzyaktach, gdy procesów

brakło, co się rzadko zdarzało, spotykali się z sobą antagoniści i mówili i zabawiali, bez urazy i animozji, lecz skoro sprawa jaka weszła na stół, przestawali widywać się, mówić i kłaniać nawet na ulicy.

Żółtkiewicz był starszy, poważniejszy i miał za sobą to, że w jednym z naj-sławniejszych trybunałów, w lubelskim palestrę za młodu odbył, stosunki pozawierał, nawet się nieco wsławił. Na prowincji więc zawczasu wyrobił sobie imię niezwyciężonego krasomówcy i nader biegłego jurysty.

W istocie wyszperać w sprawach artykułu, któryby na stronę klienta posługiwał, nikt lepiej nad niego nie umiał. Dziwił czasem sędziów cytując takie uchwały, o których cały był świat zapomniął, a które przecie moc prawną posiadały. Figura też była imponująca, postać okazała, twarz piękna, charakter wytrawny, człek spokojny zawsze, i choć pot z

czoła gęsty ocierał, świadczący, iż się zmęczył, w słowie ani w dźwięku głosu nigdy najmniejszego poruszenia nie okazał. Pewien był siebie, około spraw chodzić umiał, słowem, nigdy się nie wydał, milczący był, zamknięty i statysta wielki.

Zdanie jego szanowano nie tylko w procesach, ale we wszystkich innych towarzyskich stosunkach. Miano go powszechnie za bogatego, chociaż żył tak skromnie, jakby bardzo mierną miał tylko fortunę. O kupno ziemi się nie kusił, kapitałów na procenta nie dawał, żył w starym drewnianym, lichym dworku własnym, przy którym było ogródka kawał, schodzącego ku rzece, stara gospodyni jeść mu warzyła, a gości nie przyjmował nigdy. Że mu jednak dobrze płacono, a pieniędzy nie tracił, wniesć było łatwo, iż na kapitałach znacznych siedzieć musiał. Gdy się kto wszakże z klientów zamiast poradę

o pomoc zgłosił, zbywał go bardzo grzecznie, zaklinając się na wszystko święte, iż przy pieniądzach nie był, że miał ubogą familję, której świadczyć musiał i t. p. Przyjaciół bliższych, oprócz Gwardjana Bernadyńskiego, żadnych nie miał. Z nim czasem wieczorem przy skromnej lampeczce grywał w marjasza, i to była cała zabawa mecenasa Żółtkiewicza.

Wcale innej natury był Bołtuszewski, żywy, gadatliwy, rzutki, impetyk, bystrego pojęcia, ale gorączka taki, że wszystko psuł pośpiechem i gadulstwem. Matał, zabiegał, starał się, trafiał na bardzo szczęśliwe pomysły, ale języka za zębami utrzymać nie mógł, to go gubiło. Przytem gwałtownie też fortunę mu się robić chciało, rzucał się więc, spekulował i najczęściej ciągi brał, tak, że choć pracował ciężko, choć mu sprytu odmówić nie było podobna, nigdy

grosza przy duszy nie miał, piszczał, skarżył się, kawęczał i co kilka lat mozolnie uzbierany grosik puściwszy, na nowo musiał kapitalizować. Żonaty był też, a że jejmość była piękna, młoda i z dobrej rodziny szlacheckiej, a kolligacje miała świetne, trzebaż było ciągnąć, aby familji wstydu nie zrobić.

Żółtkiewicz był w procesach szczęśliwszy, Bołtuszewskiemu najspRAWIEDLIWSZE trafiało się przegrywać. Cisnęli się też wszyscy do starego, a Bołtuszewski się gniewał na ludzi. Żółty był, wyschły, schrypły prawie zawsze, często miewał fluksję i humor nierówny. Zarówno jemu jak Żółtkiewiczowi trafiało się przy okazji wypić, naówczas stary mecenas z powagą wielką, milczący cmokał nie wymawiając się, pot ocierał, a gdy z północy iść przyszło do domu, szedł prościuteńko, niepotrzebując aniołów stróżów, i nie okazując, aby

mu wino zbytńio szkodziło. Bołtu-szewski zaś, dla zjednania sobie serc obywatelskich, pił do upadłego, i najczęściej nocować tam musiał, gdzie go zaproszono. Jawił się nazajutrz do żony z fluksją, chory i odbierał burę taką, że ją wszyscy aplikanci w całym domu słyszeli.

U mecenasa Żółtkiewicza na praktyce, właśnie był Sykstus Warka Wawrzyński, a choć słynął stary, iż u niego wiele przepisując, tylko się nauczyć było można, życie tam było wcale wesołe. Dworek, dziaduszek pochylony, nie naprawiany od czasów niepamiętnych, wygodnym nie był dla gospodarza, cóż dopiero dla jego aplikantów, którzy się, jako młodzień, mieścić musieli, gorzej studentów na kwaterach. Stał on, jakieśmy mówili, nad rzeką, na samej wyniosłości stromego brzegu, który zajmował ogródek schodzący wprost do wody. Dołem sadzono warzywo, gó-

ra kilka drzew i cienia trochę, wszystko to, tak jak sam dom, wielce opuszczone było. Od ulicy wchodząc z ganku; na czterech drewnianych popekanych słupach opartego, z ławami, była sień na przestrzał.

W lewo mieszkał mecenas, izba pierwsza służyła do przyjmowania gości. W niej, oprócz pieca i komina, Chrystus z czwartym bokiem wisiał na ścianie, było krzesel prostych kilka włosieniem obitych i stół czarno bejcowany, na kręconych nogach. Z tej drzwi wiodły do sypialni z małym łóżeczkiem, szafami, kuframi, oknem kraciastem, i mnóstwem różnych rupieci. Klucz od tego przybytku nosił mecenas zawsze w kieszeni, przytroczony do drewnianego toczonego wałeczka, aby go zgubić nie było łatwo, a wyszukać nie trudno. Z drugiej strony sieni, izba obszerna zwała się kancelarją, a przy niej druga zamykana—archiwum. W

pierwszej pracował Sykstus z trzema skryptorami, z których dwóch mieszkało w domu, a trzeci z miasteczka przychodził rano, odchodził o zmroku. W tyle była kuchenka, spiżarnia, skład i izdebka starej kucharki i klucznicy, zwanej panią Wawrową. Straszniejszej sekutnicy świat pono nie widział, bo się kłóciła z temperamentu, bodaj z kłódą drzewa, gdy ludzi nie było.

Z sieni schodki drewniane przezrocyste, nakszałt drabinki, wiodły na tak zwaną górę. Na górze, alias na strychu, było izdebek trzy, jedna większa, którą zajmował Sykstus, druga mniejsza, oddana Siebienowi, towarzyszowi jego, małemu garbusowi, którego garb stanowił szczęście, bo Żółtkiewicz wierzył w to, iż garbaci są zawsze bardzo sprytni i zdolni.

W zimie na strychu było okrutnie mroźno, mimo piecyka wspólne-

go, który miał dwa pokoiki ogrzewać; w lecie za to skwar nie do wytrzymania, wiało zewsząd, okienka pojedyncze nigdy opatrzone; słowem było to prawdziwe mieszkanie kawalerskie. Lecz ubogiemu sierocie i tu dobrze było, nie poskarżył się nigdy. Właśnie we środę wstępną powrócił od podczaszego, i wdrapał się śpiesznym krokiem na górkę pod wieczór. Sieboń zapomniał był sobie w piecu zapalić, chłód więc mimo odwilży przejmująco czuć się dawał. Mrok padał. Sykstus zmęczony radby był spocząć, ale zaległe roboty czekały leżąc na stole.

Stół ten, pokapany atramentem i cały popisany, wysiedziane krzesło, chude łóżeczko z palmą i obrazkami, u drzwi dzbanek, miska na stołku i natłuczona szklanka, dalej kufer stary, składały całe mienie i sprzęt ubogiego palestranta.

Przy piecu był rodzaj przymurka,

na którym flaszka z atramentem własnej roboty, butelka zielona, lichtarz ze szczypcami, z całą naiwnością swą przedstawiły się oku gościa. Miotła i inne mniej okazałe przybory, chowały się za piecem.

Sykstus wszedłszy zmarzły, nie zaraz poczuł chłód, poszedł jednak do pieca, przyłożył rękę, znalazł go zupełnie wystygłym i trochę się zadumał. Trzeba było sięś pisać, a tu palce skostniałe nie miały się gdzie ogrzać. Musiał czekać więc na Siebonia, który powinien był nadejść, paliło się bowiem w jego izdebce. Tymczasem zrzucił z siebie opończę, siadł i zadumał się.

Pochwili drzwi skrzypnęły i wszedł garbaty, z głową śpiczastą, z rękami o długich kościstych palcach człowieczek, zbliżył się, wpatrując ciekawie w Sykstusa i podał mu rękę, a potem sparł na stole.

— A co, hulało się? ha? hulało?—

rzekł — no, to też i post i trzeba do robotki sięść, bo pilna. Jegomość (tak zwano mecenasa) choć panu pozwolił do Góry, ale mruczał, bo już cię do Popielca aż siedzieć nie godziło się. A my tu za was charowali.

— Mój drogi panie Sieboń—rzekł Sykstus — nie bardzom to ja hulał, a chyba na tych co hulali patrzył.— I westchnął.—A teraz jak się do roboty wezmę, to choć nocą. Ale trzebaż w piecu zapalić, bo palce grabieją.

Sieboń parsknął i ruszył się.

— No, bo my też hulali wczoraj że dopiero nad rankiem po cichu wróciłem. Już mi się w piecu palić nie chciało, a na dole było ciepło, bo pani Wawrowa zapaliła.

— Zapalmyż zaraz — rzekł Sykstus — bo mi bardzo zimno.

— Bo z waści delikacik! he! a jak

na mrozie pisać mus? to co? Oj, delikacik!

— Daj mi waćpan pokój — smutno odparł Sykstus — wiesz, że się nie wzdragam niczego, co zrobić powinienem, i za was gotów, gdy trzeba.

Wstał zabierając się palić, gdy go Sieboń wstrzymał. — No, no — rzekł — ja i sam w piecu zapalę, wy sobie odpocznijcie, a tylko powiedźcie mi, jakże to tam było?

— Co? — spytał Sykstus.

— A no? zapust? wspaniały...

— Jak się patrzy, jeździliśmy po dworach, skakali ludzie, jedli, pili, śmieli się, a jam — patrzył i służył. Ot, moje zapusty!

— Nie skarżcie się, toście choć na weselszy świat popatrzyli niż my. Mnie prosił Sufczyński na chrust i miód, potem poszliśmy do gospody z innemi sądowemi, i tam przebałakaliśmy do białego dnia. Tyle że się

trochę podchmieliło. U Bołtuszewskiego było gości siła i tańcowali pono do trzeciej, aż się księża dziś z ambon odgrządzali na te zbytki. Nasz zaś stary o dziesiątej powrócił i już w papierach się grzebał, a dziś po popiele, wrócił do roboty kwaśny. Mielśmy na obiad śledzia i żur. Zapowiedziała pani Wawrowa, że nas ino żurem karmić będzie. Olej kupili zielony i śmierdzący.

— Mówił garbus, ale Sykstus wcale nie słuchaj pogrążony w myślach, gdy do drzwi coś się dobierać zaczęło, skrobać, szukając klamki i wszedł chłopak skryptor z miasta, który już do domu miał odchodzić, oznajmując, iż jegomość pana Sykstusa na dół żąda i chce pomówić.

— Gotuj się na burę — rzekł garbus.

Sykstus szedł, zacierając ręce od zimna. Znalazł mecenasa z rękami w tył złożonemi, przechadzającego się po izbie bawialnej, w której się

w końcu paliła świeca, tymczasowo przez oszczędność była zgaszona. Ujrawszy Sykstusa wchodzącego, mecenas stanął.

— A cóż to? waszeć nawet nie przyszedłeś mi powiedzieć dobrego słowa? he?

— Szedłem, panie mecenasie, bom tylko co przybył, i to zmarzły.

— Zmarzły? — spytał Żółtkiewicz — proszę? zmarzły? Gdym ja w tym wieku był, było mi zawsze ciepło, a no, taka z was teraz młodzież. Cóż podczaszy.

— Kłaniać się kazał!

— Nie przysłał nic?

— Nie wręczono mi nic.

— Nie polecił powiedzieć?

— Ukłon piękny oddać zalecił i przyrzekł, iż sam wkrótce będzie.

— Weź-że się asan do pisania — dodał Żółtkiewicz. — Jest kopij dokumentów kilka. Głos w sprawie Odrychewicza, replika i fascykuł do-

kumentów — a wszystko pilne. Pani Wawrowa świece wyda, trzeba nocą przysiedzieć.

Sykstus zmilczał.

— Cóżżeś tam asindziej słyszał? — spytał mecenas.

— Nic.

— Te nie wiele. Dobranoc.

Rozmowa na tem się skończyła.

Sykstus poszedł do pani Wawrowej po świece. Tu przewidziane już było spotkanie przykre, choć ze wszystkich u mecenasa pracujących, Sykstus był u niej w największych łaskach.

Pani Wawrowa sucha była, żółta, przygarbiona, nosiła się bardzo ubogo, a głos miała przypominający nie nasmarowane koła.

Siedziała na przypiecku z kotem, gdy Sykstus wszedł, zerwała się gwałtowne. A no! przecież ci asindziej z powrotem! przecież, no! no! pan, pan, wojewodzie, kasztelanie, po balikach,

po szlachcie. Jeźdź, jeźdź! zoboczysz czego się tam nabierzesz.

— Pani Wawrowo, po świece...

— Jeszcze czego? świec? cóż to, iluminację będziecie robili. Świec? czy się u mnie świece rodzą? a kiedy asan wziął ostatnią przed wyjazdem? to pól być powinno?

— Pół jest, ale ja całą noc siedzieć muszę.

— To sobie świece kupuj! Gdybyś asan był w domu, pisałbyś dniem, a podobało się zapustować, kupże sobie światło. Za co ma mecenas jego mości za zapusty płacić? he?

Posłyszawszy to Sykstus, już chciał odchodzić, ale pani Wawrowa przyskoczyła do niego.

— Czegoż się spieszysz? czego?

— Do roboty.

— Czeka! a to szalona pałka. Czeka!

Brzęknęła kluczami. — Świece dam, teraz po nocy u żyda nie dostać, od-

kupisz mi jutro. Cóż to za fanaberja? nawet nie poprosić?

— Pani Wawrowa wie, że jam się nie rad naprzykrzać.

— Tak, tak! wiem, fanaberja wielka, państwo w głowie, szlachectwo, dobrego słowa starej babie nie chce się powiedzieć. Czy ja asana nie znam? Sieboń zły jak jaszczurka, a asan jesteś, fanaberja, fanaberja.

Jednakże poszła do szafki i wydobyla dwie świece łojowe, z których jedna była złamaną, a drugą kot nadkasił. Wziął je wszakże z podziękowaniem Sykstus, i odszedł na górę.

Takie było to życie we dworku Żółtowicza.

W piecu szczęściem, choć zgniłemi, i mokremi drewkami Sieboń zapalił i na kolację kartofle sobie upiekli. Sól była w papierku dla przyprawy.

*

*

*

Owej prześlicznej Ewuni, za którą cała młodzież szalała, najbliżsi nawet mało znali. Dziecięciem straciła matkę, wychowała się przy dobrej, pobożnej, ale serca macierzyńskiego zastąpić nie mogącej ciotce, potem w domu przy francuskiej, jak je wówczas nazywano Madamie, która też była kobietą dobrą, ale bojaźliwą, i wołała panienkę pieścić, niż jej i ojcu się narazić. Piękna jedynaczka rosła w ten sposób otoczona staraniem, pieszczoną, ale nieco dziko i o własnych siłach się rozwijając.

Towarzystwo pań i panienek z sąsiedztwa, które widywała po kilka godzin, z którymi się pośmiać i pobawić mogła, ale nigdy zbliżyć nie miała sposobności, wielkiego na nią nie wywierało wrażenia. Książki ówczesne polskie niewiele kształcić mogły, i odzywały się do pewnych tylko uprawionych uczuć człowieka, francuskie, jakie miewała, dobrane

były ogłędnie, aky zbytecznie fantazją nie rozbudzały. Ewunia więc wychowywała się sama, a najsilniejszy wpływ na nią miało to, czego się domyślać trudno, jej niewieście towarzystwo służebne. Jak w każdym dworze polskim, nie obeszło się tu bez rezydentek ubogich, bez szlachcianek: córek, kuzynek dawnych rezydentów, kolligatów i ofcjalistów. Ewunia miała cały dwór złożony z rówieśniczek, wśród których, spędzała większą część dnia przy krosienkach, na opowiadaniu różnych osobliwszych powieści, na śpiewach, nabożeństwie, grach i żartach. Ten mały światek niewieści zakrosienkowy, rządzony przez staruszkę, panią Kropiwnicką, wdowę po rządcy zasłużonym, otaczał miłością, pieścizotami, weselem, ukochaną panienkę, która u tatka mogła wszystko, nawet mały posażek i wyprawę dla wychodzącej za mąż wy-

robić. Stosunki podczaszanki z tem otoczeniem nie były takie, jakieby sobie zdawa wystawić można z tego, iż ubogie dziewczęta wstępu na świat nie miały, i siedziały zawsze jak w klasztorze zamknięte w swoich pokojach. Nie były to sługi, ale raczej dobre przyjaciółki, wyścigające się o pozyskanie serca dobrej panienki. Ewunia w pokoju od ogrodu, w którym były krośna panien i ich roboty, spędzała długie godziny, bawiły się rówieśnice, zapominając, jak dalece dzieliło je położenie towarzyskie, a w życiu rozdzielić miały wcale różne losy.

Z małych dworów, z ubogich chatek, z folwarków, dziewczęta te przynosiły z sobą, to co się niewieścią tradycją nazwać godzi, zasób ogromny dziwnych historyj, począwszy od zaklętych królowien i pięknych królewiczów, aż do powieści z tysiąca nocy, z „Argienidy“ i niewiedzieć

jak ze starych rycerskich poematów zabłąkanych. Każda klasa społeczeństwa, ma swe podania i klechdy, które się u ognisk domowych powtarzają; powiedzieć też można, że każdy stan i płeć ma swoje tradycje, upodobane powieści i pojęcia, któremi żyje.

W życiu niewiasty, przeważną rolę gra miłość, miłość dziecięcia, kochanki, żony i matki, w różnych postaciach, z twarzą różną, zawsze jedna. Serce, które już kochać nie może, czepia się kota, kanarka i pieska, potrzebuje do czegoś się przywiązać.

Z tych wszystkich miłości naturalnie, najjaśniejszą, najpromienniejszą musi być ta, której nie narzuca, nie nakazuje, która przychodzi jak niebios sielanka, łączy istoty sobie obce, w niewolę zaprzęga swobodnych, a w życiu niewiasty jest jakby aniołem zwiastunem jej przy-

szłych przeznaczeń. Na tle tego uczucia, wzorzyste kobierce tka wyobrażnia młodości. Ewunia miała wiele swobody w wewnętrznym zarządzie fraucymuru, którego karność tylko i klauzurę dozorowała pani Kropiwnicka; zresztą dziewczęta śpiewały, opowiadały, robiły przy panience co ona kazała, o co prosiła. W długie wieczory zimowe, gdy nie było podczaszego w domu, w lecie o szarej godzinie, Ewunia kazała pannom prawić sobie powieści, i wyścigały się wszystkie w najosobliwszych historjach, jakimi ją karmiły. Mało widząc żywego świata, Ewunia z tych fantastycznych obrazów zaczarowanych krajów, tworzyła sobie pojęcie o ludziach, stosunkach, sercu, o mężczyznach i kobietach. Odłączywszy część cudowną, która była jakby wieńcem kwiecistym, służącym do przybrania baśni, brała z niej to, co powtarzając się we wszystkich, zda-

ło się jej wiekuistą prawdą. Nie wierzyła w konia skrzydlatego, na którym do zaczarowanego zamku, zlatywał królewicz, ale w uczucia, które było pobudką do narażenia się na niebezpieczeństwo, być zjedzonym przez straszliwego smoka.

Po tych poematach garderobowych, świat Ewuni wydawał się bardzo prozaicznym, wołała ona stokroć owe bajeczne kraje, niż te, w których żyły opasłe podsędk, ojciec Gula, pan podkomorzy, państwo Przyrowowie. Nawet młodzież, która się zjawiała w Górze, w porównaniu z Kleomirami wysnionemi, wydawała się jej prozaiczną. Ewunia nie rozpaczała, że się na świecie Bożym coś podobnego do jej marzeń znaleźć nie może, ale dotąd nie spotkała jeszcze nic, coby na młodem serduszkę uczyniło wrażenie.

Nasłuchawszy się więc o miłości statecznej, gotowej do ofiar, walczącej

z olbrzymiemi przeszkodami, pokonywającej i druzgoczącej siłą potężną, co jej stawało na drodze, postanowiła sobie podobne uczucie pobudzić, stać się heroiną, znaleźć rycerza i na jawie przeżyć podobny poemat.

Z dziecięcą naiwnością osnuła sobie przyszłość swoją, i powiedziała, że najprzód, nie wyjdzie za mąż, chyba pokocha i będzie tak kochaną, jak owe królowny, że królewicza swojego wypróbuje stałość, wszelkimi możliwemi sposoby.

Koniec tomu pierwszego.

300P f--

112 12

509127

Biblioteka Raczyńskich

JK2668



JK2668